

mniej sobie! i chodzić umieją bez najmniejszego szmeru!

Podszedł sekretarz z wytłumaczeniem:

— Po siostrze panny Lusi Morel, panna Fernanda, która przybyła tu po drobiazgi jej potrzebne, zamknęła w kufrach, przywiezionych do magazynów razem z rzeczami naszego księcia!

Zaledwie Matjasi wymówił te słowa, gdy ukazała się Fernanda, niosąc pakiet z bielizną, i pudło z kapeluszami. Detektywi śledzili każdy jej ruch podejrzliwie a Gewolski objął ją nienawistnym spojrzeniem.

Fernanda przeszła spokojnie, po chwili zatrzymała się i zapytała donośnym głosem.

— Czy idziesz, ojczy?

Sekretarz Matjasi, machinalnie uklonił się jej i spytał grzecznie:

— Pani się tu nie znajduje sama?

— Jakże to, mój panie — odparła młoda dziewczyna, siłąc się na uśmiech — Czy nie widziałeś ojca, w chwili gdy tak uprzejmie pomagałeś mi odszukać moje kufry?

I rzeczywiście, zaraz ukazał się pan Morel, w kapeluszu o szerokich brzegach i fajką w ustach. Przecho-
dząc obok Gewolskiego i detektywów skłonił się im głęboko i rzekł do córki spokojnym, dobrośliwym głosem:

— No! sądzą moja mała, że wytrzymasz, z tem, co masz w rękach, aż do naszego przyjazdu do Kiwani.

Poczem zmusił córkę do zatrzymania się, odebrał z jej rąk pudło z kapeluszami i jeszcze raz wrócił się i grzecznie uchylił kapelusz; po chwili ojciec z córką, lub też wój z siostrzenicą opuścili dworzec, nie przyspieszając kroku. Przedtem jednak stary malarz przystanął i zapalił zgaszoną widocznie fajkę — Gewolski i detektywi mogli wtedy ujrzeć jego dobroduszną, uśmiechniętą twarz.

Poczem znikł na zakręcie ulicy.

Nagle Gewolski uczynił ruch jak gdyby chciał biec za odchodzącym, lecz powstrzymał go rozpaczliwy okrzyk Wiliama Perkinsa. Stał on na środku magazynu nad otworzoną trumną lakową, z załamanymi rękami, z tragicznym wyrazem na pobladłej twarzy.

— Przekleństwo! — krzyczał w bezsilnej wściekłości — przekleństwo! tym szatanom! tym potworom!

— A co? nie mówiłem wam! — zawołał Jonnie podbiegając do przyjaciela.

Trumna lakowa, była otworzona!

Zamki i pieczęcie księcia odjęte z niebywałą zręcznością...

I tutaj — tak samo jak tam na okręcie — trumna była pusta!

Intruz.

Już od dwóch miesięcy, panował w pałacu Kiwani zupełny spokój i harmonia, niczem nie zakłócona, pomiędzy ministrami księcia a doktorem Gewolskim, do którego tak zazdrośnie odnosili się w początkach jego pojawienia się na dworze.

Gewolski bowiem z taktem i rozwagą, umiał się odosobnić w swoim laboratorium, zajęty jedynie doświadczeniami naukowymi i pracą. Książę urządził przyjacielowi swemu, wspinał się pracownię. W pośrodku olbrzymiego przepysznego parku wznosiło się kilka pawilonów a na końcu znajdował się pałacyk przeznaczony dla doktora Gewolskiego i jego syna.

Pałacyk ten, był urządzony z całym wschodnim przepychem! Ściany pokryte były bogatymi dywanami i całą kolekcją artystycznie rzeźbionej broni, sztychami i obrazami wielkiej wartości. Kilkanaście służących, Hindusów, kręciło się po pokojach, oczekując tylko na rozkaz swoich nowych panów.

Gewolski czuł się tak swobodnym pośród tego przepychu, jak gdyby w nim przebywał od dawna. Stanisław mieszkał z ojcem i pomagał mu w urządzaniu laboratorium, na razie jeszcze prowizorycznego — gdyż czekano na przybycie dzielnego Antoniego, któremu dano rozkaz sprzedania małego pawilonu w Saint-Quen. Później, gdy wszystko się już ułoży, Stanisław miał się przenieść do pałacu księcia Kiwani, i wyręczać go w oficjalnych i prywatnych przyjęciach gości.

Gewolski sądził, że to wspólne mieszkanie i cią-

gła wzajemna styczność zbliży go do syna — ożywi dawne zaufanie i naprowadzi na drogę zwierzeń — A oczekiwał ich wraz z księżną Saharadzą, z wielką niecierpliwością i trwogą zarazem! Co ukrywało się pod tym pozornym spokojem i pogodą Stanisława? i nie tylko Stanisława, bo i w zachowaniu się panny Lusi i jej ojca, bystre spojrzenie Gewolskiego i jego kochanki, nie mogła odkryć nic nienormalnego!

Byli to sympatyczni Europejczycy, przeniesieni nagle do tej krainy absolutnego piękna, istnej krainy marzeń — i objawiający z dniem każdym rosnące zadowolenie i zachwyt, nie zdający jeszcze sobie dokładnie sprawy z tej nieoczekiwanej przemiany!

Stary malarz, którego życie upłynąć miało, bez większych wrażeń w cichym i ubogim domku w Sannois — zajmował pracownię również rodzaj pałacyka — zdolną do wywołania zazdrości najslawniejszych i najlepiej sytuowanych mistrzów Paryża.

Lusia, zaś mieszkała w pałacu księcia Kiwani, zajmując pokoje obok księżniczki Kity, która obdarzała ją coraz żywszą sympatią i bawiła się nią jak wielką, pożądaną lalką.



Na własne oczy widziałem tam w iadalnym pokoju, zajętego z całą rodziną, ożywioną rozmową.

Listy Lusi pisane do pani Morel zdradziły dostatecznie jej szczęście i radość. — Ale w listach tych z treścią, których potrafił się Gewolski zapoznać, nie było nigdy najlżejszej wzmianki o Stanisławie. — I ten drobiazg potrafił wyprowadzić go z równowagi. Czyżby ta młoda dziewczyna była artystką w odgrywaniu komedii, nawet przed najbliższymi! Co zaś do panny Fernandy, ta nie opuszczała prawie mieszkanie ojca, gdzie odgrywała rolę gospodyni. I jej listy były wesole i radosne, lecz nie zdradzały nigdy istotnego stanu duszy. I żadne z nich, ani pan Morel, ani jego córki, nie zdawała się pamiętać, o istnieniu brata i wuja i o jego powrocie do Francji i — ukazaniu się w Sannois... w ów wieczór, tak pamiętny przecież dla Gewolskiego, podsłuchującego ich rozmowy w ogrodzie!

— Gdybym ich na własne oczy nie widział! — mówił Gewolski do księżnej Sahadzi — myślałbym że to sen! Ale przecież widziałem go! na własne oczy widziałem tam, w tym iadalnym pokoju, zajętego z całą rodziną, ożywioną rozmową.

— A więc najoczywiściej oszukują cię wszyscy — odpowiedziała zimno księżna. — I kłamią wszyscy beczelnie. I jesteś szalonym mój przyjacielu, że

nie chcesz ani dopomóc w usunięciu ich wszystkich i uwolnieniu nas raz na zawsze od nich!

W tem otoczeniu pośród rozlicznych pawilonów, rozsypanych po parku i służby indyjskiej, gotowej na każde jej skinienie, zamiar ten mogła księżna z łatwością wykonać.

Cóż by było naprzykład bardzo interesującego, gdyby pewnego dnia znaleziono pannę Lusiś śmiertelnie uszpioną w swoim pokoju, przy oknach otwartych? Powietrze tego kraju bywa niekiedy bardzo niebezpieczne i zdradliwe! A księżna i Gewolski mieli do dyspozycji tyle rozlicznych, niezbadanych jeszcze przez naukę trucizn!

A cóż łatwiejszego, jak wprowadzić do mieszkania malarza Morela i Fernandy kilka jaszczurek „cobras“, których ukąszenie jest śmiertelne. Wytłomaczono by to nieszczęśliwym wypadkiem, a Stanisław byłby na zawsze uratowany.

Ale Gewolski nie był na tyle odważny i odpowiadał niezmiennie na te insynuacje kochanki.

— Czyby nam śmierć tych ludzi dopomogła w czemkolwiek? To o tamtego mi chodzi najwięcej! Podniecilibyśmy tylko jego wściekłość i pragnienie zemsty! Ach! żebym wiedział, gdzie „on“ się obecnie znajduje!

I wtedy wzrastała kłótnia pomiędzy Gewolskim a księżną. Księżna Sahadza zarzucała współnika gorzkimi wymówkami, zarzucała mu brak energii i stanowczości w ostatniej chwili. Tyle razy już przecież miał w rękach tego Piotra Moreau! tam! na obczyźnie! A wtedy, gdy sądził, że jego to trzyma ubezwładnionego na stole chirurgicznym w laboratorium w Saint Quen!

— Ależ to był jego brat!

— A cóż to szkodziło! Była to w każdym razie jedna sprawa załatwiona. I nie miałbyś teraz tej idiotycznej rodziny, śledzącej każdy twój ruch! każde słowo! A gdy nareszcie miałeś tego Piotra Moreau u siebie — w cztery oczy — cożes wtedy wymyślił? Chloroform!... Chloroform! dla unieruchomienia go! A zanim zdecydowałeś się wrzucić do Sekwany, ktoś ci go z pod nosa uprzątnął — oto twoja robota! twoje wielkie czyny!

A na okręcie? On, Gewolski, silny i dobrze zbudowany, pozwolił się pokonać przez takiego Piotra Moreau! I nie potrafił go nawet odszukać na pokładzie?! Ten nędznik drwił sobie zawsze z nich, jak bohater z wodewilu — uciekł z okrętu w trumnie lakowej, w tej trumnie świętej, przed którą władze indyjskie z przejęciem broń prezentowały! Czy to nie było śmieszne!

— A on tu jest, w Indyach, możesz być tego pewna! — zawołał Gewolski rozpaczliwie — i ten nie znaczący człowiek w twoich oczach potrafił jednak ujść czujności całej policji! Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym się dowiedział pewnego dnia, że znajduje się w jednym z twoich pałaców! A przecież śledzi go dwóch najzręczniejszych detektywów z Scotland-Yard!

— Dwóch głupców, chciałeś powiedzieć — rzekła pogardliwie księżna Sahadza — dwóch głupców, szukających bezskutecznie tych dwóch fakirow, którzy o tej porze już są w Indyach, gdzie prześlizgnęli się przez granicę Tybetu! Tak, dowiedzieliśmy się o tem dziś rano! I jeżeli ci nędznicy dotrą aż do mojego małżonka, pomimo całego zastępu angielskiej policji i wytłomaczają mu, jakim sposobem doszli do posiadania tej trumny, w której zamknięty był twój więzień... o czem nigdy nie ośmieliłeś się wspomnieć księciu — wyobrażam sobie, jak wówczas poprawi się nasze położenie! A ty tymczasem ochraniaasz idiotycznie jego brata i siostrzenicę, które grają rolę szpiegów przy nas!

Gewolski uczynił ruch zupełnego zniechęcenia.

— Nie potrzebowałbyś mieszać się do tego wszystkiego — szepnęła głucho księżna, patrząc przenikliwie w oczy kochanki.

Ale w jednej chwili Gewolski odzyskał utraconą energię.

(Ciąg dalszy nastąpi).